

## Ferdynand Hoesick: Ostatnie lata Chopina

Ostatnie lata Chopina to czas, w którym zmagał się z postępującą chorobą i skomplikowanymi relacjami osobistymi, ale także tworzył jedne ze swoich najważniejszych dzieł. Chopin był wówczas jak gasnący płomień – jego ciało słabło, lecz duch i talent wciąż świeciły swym blaskiem.

Ostatnie lata Chopina to czas, w którym zmagał się z postępującą chorobą i skomplikowanymi relacjami osobistymi, ale także tworzył jedne ze swoich najważniejszych dzieł. Chopin był wówczas jak gasnący płomień – jego ciało słabło, lecz duch i talent wciąż świeciły swym blaskiem.

W latach 1845–1846 życie Fryderyka Chopina naznaczone było pogarszającym się stanem zdrowia oraz intensywną twórczością. Od 1842 roku kompozytor doświadczał poważnych problemów zdrowotnych, które nasilały się z biegiem lat. Mimo to, w tym okresie stworzył kilka znaczących dzieł. W 1845 roku skomponował trzy *Mazurki op. 59*, a w 1846 roku ukończył *Barkarolę op. 60* oraz *Poloneza-Fantazję op. 61*. Relacje Chopina z George Sand, francuską pisarką, z którą był związany od 1838 roku, uległy pogorszeniu. Powodem były między innymi konflikty z innymi członkami rodziny Sand.

W latach 1910–1911 Ferdynand Hoesick, polski pisarz i historyk literatury, opublikował trzytomową monografię zatytułowaną *Chopin. Życie i twórczość*. Dzieło to stanowiło obszerne opracowanie biografii i twórczości kompozytora, oparte na licznych dokumentach historycznych oraz wspomnieniach świadków. Hoesick poświęcił wiele lat na badania, korzystając z materiałów zgromadzonych w bibliotekach w Berlinie i Paryżu, a także z niepublikowanych wcześniej listów i pamiętników. Monografia Hoesicka do dziś pozostaje cennym źródłem wiedzy o życiu i twórczości Fryderyka Chopina, ukazując zarówno jego osiągnięcia artystyczne, jak i osobiste zmagania w trudnych okresach życia.

Wybrane fragmenty biografii Ferdynanda Hoesicka przedstawiają Chopina w latach 1845–1846 jako artystę zmagającego się z pogarszającym się zdrowiem, wewnętrzną melancholią i narastającym poczuciem izolacji. Pomimo choroby, która coraz bardziej ograniczała jego aktywność, nadal tworzył, choć proces kompozycji stawał się dla niego męką. W tym okresie Chopin doświadczył istotnych strat. Jego dawne poczucie przynależności do kręgu artystycznego Paryża zaczęło słabnąć – bliscy znajomi odchodzili, a on sam tracił z nimi kontakt. Jednocześnie, choć Chopin nadal koncertował i uczył, jego życie nabrało bardziej refleksyjnego, wręcz żałobnego tonu, co znalazło odzwierciedlenie w jego muzyce. Inspiracje do nowych utworów często czerpał z nostalgii i tęsknoty – za młodością, Ojczyzną, za nieosiągalnym spokojem ducha. Wzrost wewnętrznej frustracji widać zwłaszcza w jego relacji z twórczością – wielokrotnie zmieniał, poprawiał i porzucał swoje dzieła, przeżywając twórcze rozterki. Pod koniec 1846 roku Chopin coraz bardziej dystansował się od George Sand, a jego życie w Paryżu stawało się coraz trudniejsze, co zwiastowało nieuchronny koniec tego etapu jego biografii. Hoesick,

bazując na listach i wspomnieniach, kreśli obraz artysty w pełni świadomego swojej kondycji – zarówno fizycznej, jak i emocjonalnej – ale jednocześnie nieuchronnie zmierzającego ku odczuciu egzystencjalnej samotności i grożącej mu śmierci.

*Oprac. i wybór Adam Talarowski*

\*\*\*

### **Złe znaki (1845–1846)**

Zima z roku 1844 na 1845 zesłała Chopinowi »przy szanowaniu się« wcale nie najgorzej. Jak zwykle, często był osłabiony i wyczerpany nerwowo, co dzień z rana, po przebudzeniu się, miewał swoje ataki kaszlu, ale gdy »wyksztusił się« wreszcie, to już przez cały dzień czuł się nieźle, tak, że nie tylko nie potrzebował przerywać lekcji, ale mógł również, z pewnym umiarkowaniem oczywiście, nie stronić i od życia światowego. Jedynie podczas wielkich chłódów lub wilgoci, których najbardziej musiał się wystrzegać, nie wychodził z domu, szczególnie wieczorami. W ten sposób upłynęła cała zima [...].

W maju zmarł słynny publicysta i republikanin, redaktor republikańsko-demokratycznej *La Reforme*, a wielki przyjaciel pani Sand, Godefroy Cavaignac. Śmierć jego, w kwiecie wieku, bo w 44-tym roku życia zaledwie, była wielkim ciosem dla stronnictwa republikańskiego, które mu też urządziło wspaniały, demonstracyjny pogrzeb, jakiego Paryż nie pamiętał, a prócz tego

była osobistym ciosem dla pani Sand, która zmarłego darzyła całkiem wyjątkową sympatią. Chopin również lubił go bardzo, choćby dlatego tylko, że Cavaignac, bardzo muzykalny z natury, przepadał za jego muzyką, uwielbiał go, jako pianistę i kompozytora, czuł się wniebowziętym poprostu, gdy mógł go słyszeć grającego, co oczywiście, wobec jego przyjaźni z panią Sand, zdarzało mu się dość często. W ostatniej chorobie, gdy już czuł zbliżającą się śmierć, wyraził życzenie, żeby jeszcze mógł usłyszeć Chopina. Louis Blanc, któremu powiedział o tem, przyrzekł mu, że o ile lekarz nie sprzeciwi się temu, on przyprowadzi wielkiego muzyka, by spełnił to jego artystyczne pragnienie.

Jakoż stało mu się zadość. Sprowadzony przez Blanca Chopin zjawił się u łoża Cavaignaca, a gdy do jego sypialni wtoczono stary domowy fortepian, zaczął grać choremu. Musiał grać wspaniale, bo niebawem z piersi chorego, do głębi wzruszonego boską muzyką mistrza, rozległo się głośnie łkanie. Ale jednocześnie ta natchniona gra zdawała się mu przywracać życie i siły. Usiadł na łóżku, słuchał, słuchał, rozmarzony, aż w końcu zalał się rzęsimi łzami. Ogólne wzruszenie, które ogarnęło obecnych, udzieliło się i Chopinowi, tak, że nie mógł grać więcej... Gdy pani Cavaignac, przestraszona tym nadmiernym wzruszeniem syna, nie potrafiła zapanować nad sobą, żeby nie okazać swojej obawy, chory, skupiając resztę sił, rzekł słabym zamierającym głosem:

- To nic, matko, nie bój się niczego. Ach, cóż to za rozkosz słuchać muzyki, takiej muzyki!

W kilka dni po tej wzruszającej scenie Cavaignac już leżał na marach...

[...]

Chopin bawił wtedy, już od czerwca, w Nohant. Wyjechał razem z panią Sand i jej „trojgiem” dzieci, oraz z panią Vardot. Po jej wyjeździe, w lipcu, przyjechał na kilka tygodni [Eugène] Delacroix [znany malarz – przyp. red.]. [...] niczyje towarzystwo jednakże nie dogadzało tak Chopinowi, jak towarzystwo wielce pokrewnego mu duchem Eugeniusza Delacroix. Nikt nie rozumiał go lepiej, to też z nikim tak nie lubił gawędzić całymi godzinami.

»Jest to — pisał Chopin 30 sierpnia do Franchomme’a — jeden z najcudowniejszych artystów. Przeżyłem z nim zachwycające godziny. Uwielbia on Mozarta, umie wszystkie jego opery na pamięć«. Nie jest wykluczone, że właśnie w ciągu tego lata Delacroix namalował swój przepyszny portret Chopina, jedyny portret, z którego bije tytaniczność ducha Chopina, a więc jedyny rzeczywisty portret mistrza, godny jego geniuszu, dający należyte wyobrażenie o nim. Co nie ulega wątpliwości, że od tej chwili Delacroix zaczął się liczyć do najserdeczniejszych przyjaciół Chopina, do ludzi, którzy go rozumieli najlepiej, z którymi miał najwięcej duchowego powinowactwa. Samo się przez się rozumie, że muzykowano bardzo wiele razem, że Delacroix, który na pamięć umiał wszystkie opery Mozarta, doskonale usposabiał Chopina nie tylko do ożywionych rozmów o muzyce w ogóle, a o muzyce Mozarta w szczególności, ale i do grania na fortepianie. Stąd poszło, że o ile Chopin wiele »zachwycających godzin« miał do zawdzięczenia Delacroix’owi, z którym rozmowy tak nań oddziaływały podniecająco, o tyle Delacroix niemniej »zachwycających godzin« miał do zawdzięczenia Chopinowi, którego natchniona muzyka w taki wprawiała go zachwyty.

[...]

Jakoż pracował z natężoną intensywnością, ale że mu komponowanie szło źle na ogół, że choć miał pozaczynanych tyle kompozycji, żadnej, pomimo wysiłku, nie mógł nadać ostatecznej formy, więc zdarzały się dni, w których go poprostu ogarniała rozpacz z tego powodu, rozpacz, którą dusił w sobie, ale która na zewnątrz przejawiała się w postaci niezwykle zdenerwowania. O tych jego męczarniach twórczego porodu, których zawsze w Nohant była naocznym świadkiem, tak pisze w swej *Histoire de ma vie* p. Sand: »Odkąd siadł do pracy, wszystko naokoło niego ponuro się chmurzyło. Czasem sześć tygodni mozolił się nad jedną stronicą, na to tylko, by wrócić do pierwotnego pomysłu. Długo mi się udawało tyle na nim wymóc swym wpływem, że zaufał pierwszemu prądowi natchnienia. Lecz kiedy począł tracić do mnie zaufanie – co właśnie wystąpiło na jaw w ciągu lata 1845 roku – czynił mi łagodne wyrzuty, że go psuję, że nie jestem dość surową dla niego. Wtedy starałam się rozerwać go, namawiałam do przechadzki. Z czasem – z pewnością od roku 1845 począwszy – zaczął okazywać zły humor, gdym mu przerywała. Wpadał w straszny gniew, a ponieważ w mej obecności zawsze się hamował w swych uniesieniach, przeto zdawało się chwilami, że go takie przewyciężenie się gotowe pozbawić życia. Jedynie w Nohant tworzył i pisał« [...]. Często czuł się osamotnionym i obcym wśród tego otoczenia rodziny i przyjaciół p. Sand, a coraz bardziej odczuwał brak jakiegoś serdecznego ciepła, słowem, że nie miał, czego mu było trzeba do szczęścia.

W takim nastroju napisał muzykę do dumki Zaleskiego *Niema czego trzeba*, muzykę, która doskonale malowała jego ówczesne rozżalenie za czemś innym, niż to, co było jego udziałem. Dlatego tak sobie

upodobał słowa tej żalösnej dumki, albowiem były to słowa, jakby mu wyrwane z duszy:

Mgła mi do oczu zawiewa z łona  
W prawo i w lewo ćmi na około:  
Dumka na ustach brzęknie i skona  
Niemo, ach, niemo, bo nie wesoło!

Niema, bo niema, czego potrzeba,  
Dawno mi tutaj nudno, niemiło:  
Ni mego słońca! ni mego nieba,  
Ni mego czegoś, czem serce żyło!

Kochać i śpiewać byłoby błogo,  
W cudzej tu pustce śniłbym, jak w domu,  
Kochać, o! kochać! i niema kogo!  
Śpiewać, o! śpiewać! i niema komu!

I zdarzały mu się chwile, w których, ażeby wyzwolić się z tej »cudzej pustki«, w której tak mu było obco, »nudno, niemiło«, tak »niemo«, nie był dalekim od pożądanía... śmierci. Dlatego, kiedy tworzył muzykę do tej dumki Zaleskiego, do jej ostatniej zwrotki, która właśnie wyrażała taką tęsknotę za śmiercią, napisał inną melodię, aniżeli do trzech pierwszych, które miały melodię jednakową:

|Niekiedy wzrokiem ku niebu wiercę,  
Poświstom wiatru wcale nie taję:  
Zimno, o zimno! Lecz puka serce,  
Że z dumką w inne odlecim kraje...

Z tej myśli o śmierci, która go raz po raz nawiedzała w chwilach tęsknoty i rozżalenia, zrodziła się smętna muzyka do wiersza o *Dwojakim końcu* Zaleskiego. Wiersz ten, iście pogrzebowy w nastroju, brzmi, jak następuje:

Rok się kochali, a wiek nie widzieli:  
Zbolały serca, oboje na pościeli.  
Leży dziewczyna w komnacie swej na łożu,  
A kozak leży w dąbrowie na rozdrożu.

O, nad dziewczyną rodzina cała płacze,  
A nad kozakiem, och, siwy orzeł kracze!  
Oboje biedni, wnętrzości ogień pali:  
Cierpieli srodze, cierpieli i skonali!

O, nad dziewczyną po siole dzwony biją,  
A nad kozakiem po lesie wilki wyją!  
Kości dziewczyny grób zamknął poświęcony  
Kości kozaka bieleją na wśze strony.

Już to samo, że taki wiersz upodobał sobie Chopin, by go ubrać w melodię muzyczną, świadczyło wymownie, jak smutnie był usposobiony niekiedy, jak sobie nie mógł dać rady ze swoją dolą... Lecz tak bywało jedynie w chwilach depresji moralnej; a choć takie chwile zdarzały się nierzadko, owszem, częściej o wiele, niż lat poprzednich, to jednak nie brakło i chwil pogodnych, w których wrodzony Chopinowi humor odzyskiwał swe panowanie, choć nie na długo.

[...]

Tymczasem Fryderyk, odkąd powrócił z Nohant, nie tylko zaczął dawać lekcje, ale nadto — choć nigdy nie komponował w zimie — jeszcze się oddawał pracy kompozytorskiej, ile że pragnął wykończyć tych parę większych kompozycji, którym już niewiele brakowało do tego, a których w Nohant ostatecznie skończyć mu się nie udało. »Już zaczynam mój młyn (pisał 12 grudnia do swoich). Dziś tylko jedną dałem lekcję pani Rothschild, a dwie odprosiłem, bom miał co innego do roboty. Moje nowe *Mazurki* wyszły w Berlinie u Sterna, więc nie wiem, czy do Was dojdą; wy, co zwykle w Warszawie z Lipska macie muzykę. Nikomu nie są przypisane. Teraz chciałbym skończyć *Sonatę z wiolonczelą*, *Barkarolę* i coś jeszcze, co nie wiem, jak nazwę, ale wątpię, żebym miał czas, bo już się rwetes zaczyna«. Mimo to znalazł dość czasu, żeby skończyć swoją *Sonatę z wiolonczelą*, co nawet uskutecznił w ciągu kilku dni, skoro już 24 grudnia pisał do rodziny: »Spróbowałem z Franchomme trochę mojej *Sonaty z wiolonczelą* i dobrze. Nie wiem, czy będę miał czas tego roku ją drukować«.

[...]

Niestety, ze zdrowiem wcale nie było najlepiej. Przede wszystkim cierpiał na bezsenność, a powtóre, ponieważ po powrocie z Nohant czuł się wcale niezgorzej, zaraz przestał myśleć o szanowaniu się, zaczęło poszło, że się zaziębił, dostał nieznośnego kaszlu, co u niego zawsze było początkiem poważniejszej niedyspozycji. Tymczasem cały miesiąc grudzień był zimny, »czarny i wilgotny«.

Dni »bardzo ciemne i brzydkie« przeważały, zwłaszcza w tygodniu przedświątecznym, gdy wypadło chodzić za sprawunkami gwiazdkowymi, o których on, jak i poprzednich lat, tak i w tym roku nie zapomniał, gdy chodziło o jego najbliższych, o matkę, siostry i szwagrów. Jakoż nakupił różnych prezentów, które zaraz wysłał do Warszawy, co uczyniwszy, tak o nich pisał do domu: »Posłałem przez Glucksberga dwa tomy: Stary i Nowy Testament z angielskimi sztychami dla Ludwika i Izabeli. Sztychy te bardzo tutaj za piękne uchodziły; są obrazy najświetniejszych mistrzów starej i nowej szkoły: Rafaela, Rubensa, Poussin. Wiele z tych obrazów jest tutaj w Luwrze, może Ludwika sobie przypomni. Antoniemu, który nie ma dzieci, posłałem mały tom Gavarniego rysunków *des enfants terribles* i t. d., żeby się uśmieł i sobie tutejszy lekki głupi dowcip przypomniął. Kalasantemu przysłowa rysunków Grandvillla. Grandville pierwszy w tym rodzaju zaczął karierę, a nikt lepiej, jak Gavarni, nie pojął tego. Zapewne widzieliście Grandvillowego Lafontaine«. List ten, zaczęty 21 grudnia, skończył Chopin w dzień wigilii. »Dziś Wigilia Bożego Narodzenia, nasza piękna gwiazdka. Tutaj tego nie znają. Jak zwykle obiad jedzą o 6-tej, 7-mej albo 8-mej, a tylko niektóre domy zagraniczne zachowują te zwyczaje. Np. wczoraj pani Stockhausen nie była na obiedzie u Perthuisów (u mojej sonaty), bo się zatrudniała przyrządzaniem dzisiejszego dnia dla dzieci. Wszystkie domy protestanckie zachowują Wigilię Bożego Narodzenia, ale zwyczajny paryżanin nie czuje różnicy między dziś a wczoraj. Tutaj smutna Wigilia, bo chorzy i doktora żadnego nie chcą; katar nadzwyczaj mocny, położyli się na dobre. Wszyscy Paryż przeklinają dla klimatu, a zapominają, że na wsi w zimie jeszcze gorzej i zima wszędzie zimą. Parę to miesięcy trudnych do przebycia. Ja się często pytam siebie, jakby ludzie niecierpliwi mogli żyć pod niebem jeszcze niegodziwszem, jak tutejsze. Czasem za parę godzin słońca dałbym parę lat życia...«.

[...] sam dziwił się niekiedy, że kiedy on, od tylu lat wciąż robiący wrażenie kandydata na tamten świat, trzymał się jakoś, inni z pośród jego przyjaciół i znajomych, choć bez porównania zdrowsi i silniejsi od niego, jedni po drugich wynosili się na cmentarz. Dość wspomnieć panią Hoffmanową, zmarłą we wrześniu. O Witwickim, który mu już »bardzo dawno« nie dawał znaku życia o sobie, także mówiono z niepokojem. »Kochane stworzenie słabe«. On tymczasem, o którym już parokrotnie chodziły posłuchy, że umarł, który raz po raz ciężko zapadał na zdrowiu, który wciąż kaszłał, krztusił się, dusił, nie miał dość sił, żeby wchodzić na schody, tak, że go musiano wnosić w specjalnej lektyce, ani myślał umierać, był chwilami »najsilniejszym« w tak zdrowej rodzinie, jak rodzina p. Sand, i choć nieraz myślał o własnym pogrzebie, tymczasem chodził na cudze, i to na pogrzeby ludzi, którzy wcale nie wyglądali na moribundów. »Tylem ludzi już przeżył mocniejszych i młodszych odemnie — pisał w dzień willed — że myślę, że jestem wieczny. Córka Verneta [...] umarła parę dni temu. Cały Paryż jej żałuje. Była to bardzo delikatnego rozumu osoba, sama młoda, ładna, choć bardzo chuda. Przyjmowała w swoim domu wszystko, co tylko znakomitego tutaj było; udarowana od wszystkich, mająca szczęście w domu, dostatki i poszanowanie. Ojciec był na czele żałoby i beczał, jak wół; był moment, co myślano, że matka zwarjuje«. Umarł także Artôt, skrzypek, serdeczny przyjaciel Chopina, ten sam, co odwiedził jego rodziców w Warszawie. »Ów chłopak, taki mocny i czerstwy, pleczysty i kościsty, umarł na suchoty w Ville d'Avray temu parę tygodni. Jakem przed wyjazdem był w Ville d'Avray (przejeżdżaliśmy tamtędy, jadąc do Wersalu) odwiedzić moją chrzestną córeczkę Albrechtównę, jechałem razem z panią Damoreau. Ona go pielęgnowała i już wówczas mi mówiła, że bardzo z nim źle było. Żałuję pani Damoreau, bo szczerze była do

niego przywiązana. Razem podróż odbywali zaprzeszłego roku do Ameryki. Nikt by był, widząc nas obu, nie zgadł, że on wprzód i na suchoty umrze«.

[...]

Chopin z utęsknieniem wyczekiwał każdego listu z Warszawy, a gdy nań musiał czekać zbyt długo, wtedy zaczynał być niespokojnym, miewał najgorsze przeczucia i przywidzenia, co nawet na jego zdrowie miało wpływ niekorzystny. »Spodziewam się niedługo listu od Was — pisał w tej kwestii 11 października 1846 r. — jednakże spokojny jestem (co pewno było nieprawdą) i wiem, że przy Waszej licznej rodzinie trudno Wam się wszystkim zebrać napisać mi słowo, tym bardziej, że między nami pióro nie starczy; nawet nie wiem, ileby lat trzeba, żebyśmy się nagadali *pour etre au bout de notre latin*, jak tu mówią. Dlatego nie dziwcie się, ani smućcie, jak ode mnie listu niema; bo nic temu przyczyną, jak tylko to, co i u Was; pewna przykrość łączy się do przyjemności pisania do Was, to to przekonanie, że między nami niema słów: ledwo są rzeczy. Moje największe szczęście to wiedzieć o Waszym zdrowiu i humorze. Bądźcie zawsze dobrej myśli; macie dzieciaki pocieszne (piszę w liczbie mnogiej, bo wiem, jak Antoniości są dla moich siostrzeńców), o Babce ani mowy! Byle zdrowie było, wszystko dobrze. Ja tu nieźle się mam, bo pogoda«.

Tylko się czuł coraz bardziej osamotnionym: raz dlatego, że coś się zmieniło w jego stosunku do p. Sand, że zniknęła dawna serdeczność tej przyjaźni, że dzięki Maurycemu i Augustynie zapanowała atmosfera na Square d'Orleans, która często była duszną i ciężką, a

tym samym i denerwującą; a powtóre, że nie miał swych dawnych kolegów i przyjaciół warszawskich, w których otoczeniu czuł się najszcześniejszym. Fontana bawił w Ameryce, Witwicki leczył się u Priessnitza w Freiwaldau, skąd wreszcie pojechał do Rzymu, Jaś spoczywał na cmentarzu Montmartre, gdzie również spoczął i Sobański. Mickiewicz zaś, z którym do niedawna żył tak blisko, który tak lubił słuchać jego muzyki, rozmawiać z p. Sand, w ostatnich czasach całkiem przestał bywać u nich, co należało przypisać jego zbyt żarliwemu przejściu się nauką Towiańskiego.

[...]

Ale najbardziej brakowało mu Matuszyńskiego. Gdy wspólny ich znajomy warszawski, Bełza, ożenił się, pisał Chopin do swoich: »Mój Boże, jakby się to z tego cieszył Matuszyński. Nie ma dnia, żebym o nim nie myślał. Teraz nie mam w Paryżu żadnego z moich szkolnych znajomych«. Nie mniej odczuwał brak Stefana Witwickiego, o którym miał bardziej szczegółowe wiadomości, niestety, wcale niepomysłne, od Bohdana Zaleskiego. Z tym ostatnim spotykał się dosyć często. Zresztą mniej widywał się ze swymi ziomkami, niż dawniej. Najbliżej żył zawsze z Grzymałą. Pozatem dość blizkie stosunki utrzymywał z Napoleonem Ordą, z Andrzejem Plichtą, z Wołowskimi, nie mówiąc o Czartoryskich i Platerach.

*Ferdynand Hoesick*

Źródło: Ferdynand Hoesick, *Chopin. Życie i twórczość*, t. 3, Warszawa 1911, s. 3-30 (ze skrótami).

Link do skanu książki na portalu Polona